

Dziewięćset polskich dusz czeka na powrót z Niemiec

Tysiące rzeczy osobistych i dokumentów Polaków, których niemieccy naziści wywieźli do obozów koncentracyjnych, leżą w archiwum w Arolsen w Hesji. Dzięki uporowi jego pracownik i małej armii wolontariuszy pamiątki po polskich więźniach i historii, które w sobie kryją, wracają do domu. Do odnalezienia zostało jeszcze kilkaset rodzin.

Autor: Michał Gostkiewicz

1. BABCIA LODZIA

T a m zasypiało się, trzymając chleb w zaciśniętej pięści. Jak się nie zacisnęło, to rano nie było chleba, tylko głód.

T a m był też codziennie apel. Jak było zimno, to szło się na niego z kocem wciśniętym pod obozowe ubranie. Jak złapali z kocem, to strasznie bili. Więc babcia Lodzia była ostrożna.

- Taka topielinka, Boże słodki. Malutka, chudziutka. Nikt by nie pomyślał, że taki drobny człowiek może coś takiego przeżyć.

Wiesław Konieczny nigdy nie słyszał, by babcia Lodzia narzekała. Bieda w domu to było nic, jak się przeżyło t a m.

T a m to niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny dla kobiet Ravensbrück.

* * *

16 listopada 2021 roku. W sali Muzeum Żydów Częstochowian Katarzyna Konieczna bierze delikatnie w dłonie błyszczący medalik.

Napis jest maleńki, ale wyraźny: "Maryjo bez zmyzy poczęta, módl się za nami". Babcia Lodzia, czyli prababcia Katarzyny, nie doczekała tej chwili. Zmarła w 1997 roku, gdy Kasia miała dziewięć lat.

W szarym kartonowym pudełku, które właśnie przyjechało z Niemiec, oprócz medalika leżą m.in. wykaz więźniów KL Ravensbrück i indeks KL Neuengamme z przedmiotów w depozycie. Oraz listy.

W tym ten jeszcze z Polski, do Stefana Roźniewskiego, z prośbą o wsparcie.

"Mam wrażenie, że nawet nie jako mąż, ale jako ojciec dziecka mógłbyś pomóc". Podpis: Leokadia Roźniewska.

Katarzynie i jej tacie Wiesławowi nie mieści się w głowach, że babcia musiała prosić własnego męża z nieudanego małżeństwa o pomoc.

Wiesław pamięta, że jego prateściowa lubiła posiedzieć przy stole, kieliszeczek dla zdrowotności wypić, a potem lekarstwa brała. A jak Niemców w telewizji pokazywali, to nie

reagowała wrogością. "Śmieję się wśród ludzi, a płaczę w ukryciu, bądź lekka w tańcu, ale nigdy w życiu" - wpisała prawnuczce do dzieciennego pamiętnika. Katarzyna i Wiesław zgodnie mówią, że po prostu taka właśnie była, pogodna i wesoła. A gdzieś tam w samotności, w środku, jakiś smutek miała.

W jednym z listów napisała: "Jestem jak zbłąkana owca, ale nie narzekam, bo Bóg tak chce".

Nie wiadomo, czy chciał, by 30-letnia samotna matka trafiła 23 maja 1944 roku do Ravensbrück, a potem do Neuengamme. Podobno ktoś babcię zadenuncjował, rzekomo ukradła jakiś węgiel.

W obozie babcia Lodzia pisała wiersze, czytała je dzieciom, zasypiała z chlebem w zaciśniętej pięści i pilnowała, żeby na apelu nie było widać koca pod jej ubraniem. Przetrwiała.

Nazwisko Roźniewska widnieje na liście kilkunastu tysięcy osób wyciągniętych w 1945 roku z nazistowskich obozów przez hrabiego Folke Bernadotte, dyplomatę i wiceprzewodniczącego Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. To w ten sposób babcia Lodzia trafia po wojnie do Szwecji.

Wiesław Konieczny pamięta jej słowa. Że jedyny błąd, jaki zrobiła, to powrót do Polski. Ale tu czekało dziecko. Odebrała Henryka z przechowania u babci ze strony swojego w praktyce byłego już męża i posłała pracować w zakładzie krawieckim w Częstochowie.

Pamięta też, jak taszczyła na czwarte piętro często po dwie siatki z bananami (w PRL-u to było naprawdę coś), a rodzina mówiła, że babcia Lodzia jest jak UNRRA (organizacja pomocowa Narodów Zjednoczonych, której największymi beneficjentami po II wojnie światowej były Polska i Chiny – red.).

Katarzyna chce jeszcze usiąść sobie spokojnie w domu. Otworzy ponownie szare pudełko, przeczyta listy, obejrzy zdjęcia i powspomina prababcię, która się nią opiekowała, przytulała, usypiała, zabierała wszędzie ze sobą. I pewnie dopiero wtedy pozwoli popłynąć emocjom. Pan Wiesław z emocjami nie czeka, bo go ten medalik złapał za serce.

W małym mieście w Niemczech, z którego medalik wraz z listami przyjechał, mówią na zawartość szarych pudełek "Effekten". To słowo oznacza po niemiecku rzeczy osobiste, które człowiek zabiera ze sobą, gdy jedzie w podróż.

2. DZIEWIĘCSET DUSZ PANI MAŁGORZATY

Tory do Bad Arolsen wiją się między wysokimi pagórkami pokrytymi ciemnozielonym iglastym lasem. W dolinach, przez które toczy się pociąg, osiada wieczorna mgła. Gdy robi się ciemno, główna ulica, na którą nanizane jest miasteczko, pustoszeje.

Dawna stolica istniejącego 738 lat niemieckiego księstwa Waldecku i Pyrmontu liczy obecnie około 15,5 tys. mieszkańców. W tym 14,7 tys. Niemców i kilkaset osób z innych krajów Europy oraz Azji.

I dziewięćset dusz pani Małgorzaty, które jeszcze nie znalazły drogi do domu.

Małgorzata Przybyła przyjechała z mężem Ślązakiem do małej miejsciny na granicy Hesji i Nadrenii Północnej-Westfalii pod koniec lat 80. Znalazła ją tam praca na całe życie.

Gdyby chcieć wywołać sensację, można byłoby napisać, że bezcenne dokumenty i artefakty, świadectwa hitlerowskich zbrodni, przechowywane są w magazynie niemieckiej fabryki aluminium. I jest to prawda - na czas budowy nowego archiwum z prawdziwego zdarzenia to właśnie ta hala zapewniła idealną temperaturę, wilgotność, sterylność i cyrkulację powietrza. A nowy budynek jest potrzebny, bo ani w 1945 r., ani później nikt sobie nie wyobrażał, że Internationale Suchdienst, którą starsi Polacy znają jako Międzynarodową Służbę Poszukiwań, będzie istnieć tak długo.

We wszystkich alianckich strefach okupacyjnych na terenie Niemiec powstały po wojnie biura poszukiwawcze. Szukano żywych i umarłych z rozdzielonych rodzin. Szukano miejsc zamieszkania, miejsc pochówku, informacji, które mogły rzucić światło na to, co stało się z zaginionymi. Nieocenioną, choć makabryczną pomocą okazał się nazistowski formalizm.

3. POMNIK Z PAPIERU

Niemcy spisywali. Wszystko. Imię, nazwisko, data urodzenia, skąd przywieziony, do jakiego trafił obozu, kiedy zwolniony, kiedy umarł, gdzie został przeniesiony. Każdy obóz, każde więzienie miało swoją buchalterię. Te dokumenty, które przetrwały wojnę, zwieziono do Arolsen.

Gdy ktoś dziś pyta, ile dokumentów jest w Archiwum, pracownicy najpierw odpowiadają, że ten - jak go nazywają - *ein Denkmal aus Papier*, "Pomnik z Papieru", ułożony kartka po kartce na sobie, byłby wyższy od najwyższego szczytu Niemiec, Zugspitze (2,962 m n.p.m.). Dokumentacja związana z korespondencją - wyższa niż Mont Blanc. Dokumentacja z czasów powojennych - porównywalna do najwyższego wieżowca świata, dubajskiego Burj Khalifa. A potem podają dwie liczby: 30 i 17 milionów.

30 milionów pieczołowicie katalogowanych przez ponad siedem dekad dokumentów, jakie zostały po nazistowskiej machinie terroru - obozach, przymusowej pracy, germanizacji. Dokumentów dotyczących 17 milionów ludzi.

Tuż po 1945 roku ponad tysiąc osób, głównie dipisów, po angielsku *displaced persons*, czyli osób przemieszczonych, uchodźców, byłych więźniów - w tym Polaków - zjechało do Arolsen. Wielu pracowało wcześniej w kancelariach obozowych. Doskonale znali materię, z którą mieli do czynienia.

Władający dziewiętnastoma językami zespół tworzył karty, na których wypisywał najważniejsze dane: nazwiska, daty urodzenia, daty śmierci. Równocześnie sortował i porządkował dokumenty, tak, aby dla każdej osoby powstał indywidualny zbiór - łatwy do odnalezienia później właśnie za pomocą tej wcześniej spisanej karty. Tak powstała, dziś w większości już zdigitalizowana, Centralna Kartoteka Nazwisk - serce Archiwum Arolsen.

Dokumenty były pierwotnie tylko środkiem do osiągnięcia najważniejszego celu - namierzenia i zlokalizowania członków porozdzielanych wojną rodzin. Także nieliczni Polacy - mimo żelaznej kurtyny - po 1945 r. wysyłali zapytania na adres heskiego miasteczka. Po

upadku bloku wschodniego Pomnik z Papieru stał się podstawą do wypłaty odszkodowań za pracę przymusową w III Rzeszy. To wtedy do Arolsen pisało wielu Polaków. Aby dostać pieniądze, trzeba było udowodnić swoją historię.

Dziś archiwum (od 2019 roku jego nowa nazwa to Archiwum Arolsen - Międzynarodowe Centrum Prześladowań Nazistowskich) wciąż szuka ocalałych byłych więźniów hitlerowskiego reżimu. Ale znalazło też nowy cel.

Szuka żywych, którym może oddać pamiątki po umarłych.

Na półkach rozpiętych na kilkudziesięciu metalowych stelażach bok w bok stoją szare kartonowe pudełka. Każde oznaczone alfabetycznie nazwiskami od-do. Barbero, Eiger, Cieślik, Orzechowski, Orzeł, Osipenko, Wdzięczkowska, Wierzbicka. W każdym szarym pudełku lub segregatorze kilkadziesiąt, czasem kilkaset kart z nazwiskami z całej Europy. Każdej indywidualnej karcie odpowiada kolejne szare pudełko, a w nim pojedynczy ludzki los, zapisany w ocenzonej listach, okupacyjnych dokumentach, na kenkartach, aktach zgonu.

Gdy do archiwum przychodzi wniosek od rodziny poszukującej informacji o krewnym czy krewnej, Nicole Dominicus znajduje w Centralnej Kartotece Nazwisk kartę informacyjną. Dzięki tej karcie ona i inni pracownicy i pracownice Archiwum wiedzą, w którym miejscu wielkiej hali i na którym regale szukać.

W szarym pudełku leżą dokumenty Stefanii Wierzbickiej, które przysły do Arolsen w 1968 roku z archiwum byłego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Urodzona 21 czerwca 1923 roku, narodowości polskiej, więzień polityczny. Nie więźniarka. W języku niemieckim, w którym w prosty sposób tworzy się feminatywy, nie istnieje żeńska forma słowa "więzień".

Pani Małgorzata rozkłada na blacie dokumenty innego więźnia - z Buchenwaldu. Wśród nich jest Effektenkarte, czyli karta sporządzona w obozie podczas rejestracji więźnia, która informuje, jakie miał przy sobie przedmioty.

Kiedy człowiek docierał do obozu, musiał pokwitować podpisem, że został właśnie obrabowany. Jeśli w obozie umarł lub zginął, odsyłano jego rzeczy osobiste rodzinie, a ta potwierdzała odbiór. Jeśli przeżył, po wyzwoleniu miał ważniejsze sprawy na głowie niż poszukiwanie nawet bliskich sercu drobiazgów.

Dlatego raz na jakiś czas w szarym pudełku w archiwum widnieje adnotacja przy nazwisku, że jest do niego przypisany depozyt. Że są jakieś Effekten.

Effekten - to słowo oznacza po niemiecku rzeczy osobiste, które człowiek zabiera ze sobą, gdy jedzie w podróż. W Arolsen oznacza to rzeczy osobiste ofiar niemieckich obozów.

5. EFFEKTEN, CZYLI RZECZY OSOBISTE

W 1963 roku do Arolsen trafiło około 4700 zegarków, pierścionków, kolczyków, papierośnic, dowodów tożsamości, pamiątek, zdjęć, listów, obrączek, piór wiecznych, medalików

i innych rzeczy osobistych więźniów. Dziś zostało około 2,5 tysiąca. Z tego około dziewięciuset to pamiątki po Polakach.

Zebrane przede wszystkim w obozach w Neuengamme i Dachau, oraz - w znacznie mniejszej liczbie - w więzieniu gestapo w Hamburgu, w obozach koncentracyjnych Natzweiler i Bergen-Belsen, a także w obozach przejściowych Amersfoort i Compiègne, leżą, czekają.

Z kilku przygotowanych kopert Małgorzata Przybyła wyjmuje w białych bawełnianych rękawiczkach kolczyki, wieczne pióro, dwa medaliki i papierośnicę, w której środku wygrawerowano: "Kochanej Krystynie, najmilszej dziewczynie, z zapalczonej piwnicy – trzej współnicy". Jest data: 24.12.1942 r. Wigilia. Pani Małgorzata jest pewna, że Krystyna to musiała być szykowna babka, dobrze ubrana dama z piękną biżuterią. To był pewien sposób na pokazanie wyższości nad okupantem. Mimo trudnych czasów Polki na ulice wychodziły eleganckie, w najlepszych garderobach i biżuterii.

Tej, którą teraz oglądam.

Pani Małgorzata wyjmuje z koperty dwa zegarki spięte ze sobą. Na jednym czas zatrzymał się o dziesiątej trzydziści, na drugim za trzynaście siódma. Czy to coś znaczy? Chyba tyle, że to czysty przypadek.

Przypadkiem dotykam ich gołą ręką. Nie umiem powstrzymać zakłopotania, wzdrygam się. Nie, nie że "brudne". Chodzi o to, do kogo należały.

Czesław Jaśkiewicz, numer obozowy 176. Przyjechał do Auschwitz pierwszym transportem 14 czerwca 1940 r. wraz z 728 towarzyszami niedoli. Tego samego dnia, stojąc na dworcu w Tarnowie, Hitler cieszył się, że Paryż padł.

Po co człowiekowi dwa zegarki? Bo jeden można było sprzedać za chleb.

Rzeczy osobiste Czesława Jaśkiewicza czekały wiele lat w Arolsen na jego rodzinę tak samo, jak te należące do Leokadii Roźniewskiej.

6. PAMIĘĆ ODZYSKANA

W 2016 roku Archiwum zdecydowało, że nie będzie czekać, aż ktoś się doń zwróci. Zaczęła się akcja #StolenMemory. Po polsku to #SkradzionaPamięć. Pani Małgorzata dobrze pamięta dzień, w którym pierwszy raz trzymała w ręku kopertę z obrączką pewnego młodego człowieka i rozpoczęła dochodzenie w jego sprawie.

Pierwsze informacje, jakich potrzebuje Archiwum, to nazwisko, data i miejsce urodzenia. I zaczyna się szukanie na portalach takich jak straty.pl czy Grobonet oraz w samych archiwach. Jaki był los danego człowieka? Czy przeżył wojnę? Jeśli przeżył - często podawał w powstałej już po wojnie dokumentacji gdzie mieszkał, kim byli jego rodzice. Znamy miejsce urodzenia? To pozwala zawęzić obszar poszukiwań w Polsce. Pomagają media społecznościowe. Ktoś pisze: "jestem z tego regionu, to tutejsze nazwisko, dopytam się". Pomagają sołtysowie, strażacy - więc pani Małgorzata dzwoni do OSP i pyta: "chłopcy, nie moglibyście pójść tam a tam, zapytać, czy to rodzina".

Od początku trwania kampanii #StolenMemory, czyli przez pięć lat, udało się oddać pamiątki 135 polskim rodzinom. To jedna dziesiąta tego, co leży w archiwum w Arolsen. Małgorzata Przybyła podkreśla, że poszukiwania nabrały tempa, gdy - m.in. po jej występie w Dzień Dobry TVN pięć lat temu - udało się rozbudować nieformalną siatkę wolontariuszy. Ale prawdziwa lawina ruszyła w ostatnich miesiącach.

Leokadii Roźniewskiej pani Małgorzata nie szukała sama, ale z pomocą kierowanej przez Elżbietę Pasternak grupy wolontariuszy z I L.O. w Oświęcimiu w składzie: Zofia Przeworska, Karolina Tarkowska, Maciej Piłat, Mateusz Mika oraz Sabina Kwiatkowska i Kinga Paciorek, które uczestniczyły we wręczaniu medalika babci Łodzi jej prawnuczce.

Szukali w mediach społecznościowych, na lokalnych forach, dzwonili na cmentarz. Z panią Leokadią poszło zresztą dość szybko - to już czwarta odnaleziona przez grupę Elżbiety Pasternak osoba.

Dla Sabiny udział w poszukiwaniach rodzin to nie tylko efekt pasji do historii, ale i sprawa osobista. Jest pół-Romką, pół-Polką, a jej pradziadek był Żydem z Krakowa. Prababcia zginęła w Ravensbruck, a romska rodzina została zamordowana w Mauthausen i w Auschwitz. Kiedy tata opowiedział jej historię krewnych, postanowiła zrobić drzewo genealogiczne. A potem od nauczycielki historii w liceum usłyszała - jak cała reszta grupy - o projekcie #StolenMemory. I to był strzał w dziesiątkę.

- Byłam dumna, że mogę zwrócić pani Katarzynie i panu Wiesławowi pamięć o prababci Leokadii. Też bym chciała kiedyś przeżyć to uczucie, kiedy odnajdę prawdę o moich bliskich: że rodzinna historia została sklejona - podkreśla.

Na kolejne wręczenie pamiątek jadę do Białegostoku, gdzie skleić się aż cztery historie. W tym rodziny Kowalczyków.

7. NUMER 94

Babcia Agnieszki Bocheńskiej i Krzysztofa Kowalczyka, Władysława Kowalczyk, przez całe życie szukała informacji o swoim mężu Henryku. Wiedziała tylko, jak i kiedy zginął.

3 maja 1945 roku, północne wybrzeże Niemiec. W Zatoce Lubeckiej wśród mnóstwa innych statków stoją zarekwirowany przez Kriegsmarine luksusowy liniowiec "Cap Arcona" oraz dwie mniejsze jednostki - "Thielbek" i "Athen". Jest 13:45. Za kwadrans upłynie ultimatum alianckiego dowództwa i wszystkie spotkane na morzu jednostki pod banderą III Rzeszy zostaną zbombardowane.

Kapitan "Athen" wywiesza białą flagę i zawija do portu w Neustadt. Kapitan "Thielbeka" boi się, że stojące nieopodal wierne nazistom jednostki zaatakują go za taką zdradę. Na pokładzie "Cap Arcony" poddanie się uniemożliwiają pilnujący załogi SS-mani. Na masztach jednostek o 14:00 wciąż łopocze nazistowski hakenkreuz.

Kilka minut po 14:00 200 samolotów Hawker Typhoon Mk. IB, należących do trzech dywizjonów RAF: 197, 198 i 263, bombarduje i ostrzeliwuje rakietami niemiecką flotyllę. "Thielbek" idzie na dno w piętnaście minut. Płonąca "Cap Arcona" wyrwaca się do góry

kadłubem. Do skaczących do wody ludzi brytyjskie samoloty otwierają ogień z karabinów maszynowych.

Piloci nie wiedzą, że trzy jednostki wypełnione są po burty sprowadzonymi tu kilka dni wcześniej więźniami z obozu Neuengamme oraz nielicznymi ocalałymi z marszu śmierci z podobozu KL Auschwitz w Wesołej (Fürstengrube). Na skutek chaosu do alianckich dowódców nie dociera meldunek z tą informacją. Załogi samolotów RAFu są pewne, że strzelają do ewakuującego się niemieckiego wojska.

Z prawie 7 tysięcy więźniów, którzy doczekali żywi końca wojny w obozach, do brzegu dopływa około 1000 rozbitków. A tam Niemcy - SS, Kriegsmarine i uzbrojeni cywile - otwierają do nich ogień. Przeżywa około 350 ludzi.

Henryk Kowalczyk, były funkcjonariusz Straży Więziennej na Pawiaku, później tamże więziony, od 1940 r. więzień Auschwitz, a od 1943 r. - Neuengamme - zostaje potem zidentyfikowany po pasiaku z numerem obozowym 18492 i pochowany na cmentarzu wojennym nad Zatoką Lubecką. Ale dokładnej lokalizacji grobu męża Władysława Kowalczyk nigdy nie pozna.

Nie ułoży sobie po wojnie życia na nowo. Szuka Henryka do końca. Jeszcze w późnym PRL-u odwiedza wraz z synem miejsce, gdzie zatonął "Thielbek", wrzuca kwiaty w wody Zatoki Lubeckiej. Na przełomie lat 80. i 90. XX w. z pomocą niemieckojęzycznych przyjaciół kontaktuje się z archiwum Arolsen. A tam znajduje się depozyt.

W 1995 r., dwa lata po śmierci Władysławy, zegarek, obrączka i medalik z pomocą polskiego konsulatu w Kolonii trafiają w ręce jej syna Tadeusza. I historia mogłaby się tu skończyć. Ale 26 lat później znajduje się coś jeszcze.

Agnieszka Bocheńska z domu Kowalczyk, wnuczka Henryka, mówi, że dziadek wracał do domu etapami. A miał dokąd wracać, bo pamięć o nim nigdy w rodzinie nie zniknęła i nie zniknie. Z grypsów z Pawiaka - jakże różnych od pisanych cenzorską ręką niemieckiego urzędnika chłodnych listów z Neuengamme - i z opowieści rodzinnych wyłania się kochający swoją rodzinę, dowcipny, ciepły człowiek. Agnieszka i jej brat Krzysztof myślą, że prawdopodobnie to jego usposobienie i wiara, że zobaczy synka i żonę, trzymały dziadka przy życiu. No i znajomość reguł życia za kratami, którą miał jako pracownik służby więziennej.

"Prawo do życia mają silni ludzie, którzy mają zdrowe plany i przeszli przez twardą szkołę życia" – pisze w jednym z listów z obozu Neuengamme. Krzysztof rozumie dziadka. Wie, że w obozie, jeśli ktoś nie był silnym człowiekiem, nie miał prawa przeżyć.

Głos mu drży. Bo jak tu nie być wzruszonym i dumnym, kiedy pewnego dnia dostajesz telefon i w ciągu następnych dni i tygodni dowiadujesz się niesamowitych rzeczy.

Że w Arolsen zachowało się zdjęcie, które dziadek miał przy sobie - babci Władysławy z małym synkiem, twoim tatą.

Że więźniom Pawiaka grypsy i wałówkę przynosił anioł. Pisarka i tłumaczka Zofia Chądryńska w książce "Nie wszystko o moim życiu" wspominała nawet wspaniałe "siekanie", które dostała od nigdy przedtem nie widzianej Włady Kowalczykowej - żony "anioła".

Że jak anioła złapali i wywieźli do Auschwitz, to - jak relacjonował Stanisław Dygat - "los więźniów na Pawiaku bardzo się pogorszył".

Że dziadek Henryk w Auschwitz miał dwa numery: 4864 i 94.

Pierwszy, obozowy, nadali mu hitlerowcy.

Drugi nadał mu rotmistrz Witold Pilecki, gdy wciągnął go do obozowej konspiracji.

W Agnieszce i Krzysztofie buzują emocje. Z jednej strony człowiek się uśmiecha z dumy, a z drugiej chce płakać, gdy więzień z niemieckiego obozu pisze w liście do żony: "zbliżają się imieniny twojego taty, pozdrów go proszę ode mnie". A potem: "Sprzedaj mój rower". Żeby było za co żyć. Więc wnuczka i wnuk Henryka czują radość i złość. Złość, że nie przeżył, choć było tak blisko. Radość, bo wiedzą wreszcie, gdzie dziadek spoczywa. To miejsce cały czas w domu było drążone: co się stało? Gdzie jest ciało? I to ciało się znalazło.

Agnieszka i Krzysztof odwiedzają cmentarz w Haffrug, na którym leżą ofiary z obu statków. Zapalają znicze, rozsypują woreczek ziemi z rodzinnego Sokóła - ziemi, którą dziadek i babcia kupili, planując lepszą przyszłość.

W drodze powrotnej Agnieszka pisze smsa z pytaniem, co oznaczają numery na betonowych kostkach na cmentarzu.

To numery kwater. Każdy numer to człowiek. A więc grób dziadka istnieje, oznaczony w dokumentach z Arolsen: C.A.p.62 - czyli Cap Arcona, pole 62 - wynika z wyjaśnień Małgorzaty Przybyły i Doroty Bartoszewicz.

8. OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

Cztery lata temu Dorota miała swoją pasję do historii, trochę wolnego czasu po godzinach pracy i świeżo założony na FB profil. Dziś "Ocalić od zapomnienia" śledzi prawie 16 tysięcy ludzi.

Dorota uważa, że nie ma w Polsce domu, którego nie dotknęłaby wojna. Dom Doroty też dotknęła, bo dziadek był w Korpusie Ochrony Pogranicza i siedział i w łagrze, i w oflagu. Gdy na grupie historycznej, do której należała, pojawiło się maleńkie zdjęcie żołnierza AK pogrzebanego pod Ostrołęką, pomyślała: a jeśli rodzina szukała go przez lata?

Nazywa żołnierza "Jurkiem z lasu". W ciągu dwóch dni post o poszukiwaniu Jurka wyświetla ponad 120 tysięcy ludzi. Odnajduje się rodzina i okazuje się, że grób jest symboliczny, ojciec ekshumował Jurka i furmanką zabrał na cmentarz do grobu rodzinnego. Koniec sprawy.

Ale polska ziemia jest pełna ciał. Polskich, niemieckich, rosyjskich, austriackich, żydowskich. Znajdują się kolejne nieśmiertelniki polskich żołnierzy. A Dorota już wie, czym się chce zająć

w życiu. Formalizuje stowarzyszenie, ale najważniejsza jest mała armia, którą buduje. To pajęczyna znajomości, kontaktów, wreszcie ochotników, którzy włączają się w kolejne akcje poszukiwawcze. Sołtysi wsi, jednostki straży pożarnej, lokalni pasjonaci historii. Rekordowy post na "Ocalić od zapomnienia" ma 1,2 mln wyświetleń. To był żołnierz generała Maczka, z Holandii, który zgubił nieśmiertelnik. Historia poszła w świat.

Dorota nieraz torowała sobie drogę przez urzędy miejskie, archiwa, lokalne fora. Dlatego wie, że przy szukaniu krewnych i spadkobierców dusz z archiwum Arolsen najważniejsze jest, by nie pozwolić ich nazwiskom zniknąć z nieustannie aktualizowanej facebookowej tablicy. Jeśli nazwisko jest w grze, jeśli pod postem z informacją o konkretnej osobie jest ruch w komentarzach, to takie nazwisko wyświetla się sporej liczbie ludzi. Im więcej je zobaczy, tym większa szansa, że ktoś zna kogoś, ktoś widział nagrobek, ktoś zajrzy do archiwów i znajdzie nazwisko albo adres. A jeżeli pozwolimy nazwisku opaść w czeluść internetu, to tam zostanie.

Więc na [forum Arolsen na Facebooku](#) Doroty jest pełno, a komentujący dołączają do jej nowoczesnej poczty pantoflowej. Dlaczego? Na twarzach osób, którym oddaje pamiątki po krewnych, Dorota widzi ukojenie traumy. To najlepsza - i jedyna - zapłata za to, co robi.

Choć ostatnio zdarzyło się coś więcej.

Białystok, 4 listopada 2021 r. W gmachu Opery i Filharmonii Podlaskiej prezes IPN Karol Nawrocki i szefowa Archiwum Arolsen Floriane Azoulay otwierają wystawę #StolenMemory - #SkradzionaPamięć. Dorota Bartoszewicz odbiera medal "Opiekun Miejsc Pamięci Narodowej". To tam rozmawiamy. Dorota żałuje, że takich narzędzi do poszukiwań, jakie ma dziś do dyspozycji, nie było 30, 40 lat temu. Wówczas być może część Effekten udałoby się oddać byłym więźniom osobiście.

9. SPRAWA OSOBISTA

Małgorzata Przybyła pamięta jedną osobistą sprawę. Bolesław Hermanowicz. 17 lat. Auschwitz. Pierwszy transport. Potem Neuengamme. Niski numer. Zginął najprawdopodobniej na Cap Arkonie.

Sprawa była osobista, bo w dokumentach oprócz zegarka i medalika z Pierwszej Komunii zachowało się zdjęcie obozowe. A Małgorzata sama jest matką. I pamięta, że nikt do archiwum w sprawie tego dzieciaka nie pisał. Być może ojciec i matka go szukali?

W trakcie zwiedzania muzeum Auschwitz odwiedza koleżanki z tamtejszego archiwum. Co się okazuje? Z Polski nikt o Hermanowicza nie pytał, ale z Niemiec tak! I jest adres mailowy. Adresat odpisuje na wiadomość Małgorzaty po kilku minutach. To emigrant z Polski, który był w posiadaniu kupionego, jak twierdził, na pchlim targu, napisanego w Auschwitz listu Hermanowicza do matki. Mając adres i imię mamy Bolesława Małgorzata dzięki pomocy dziennikarki Jowity Flankowskiej odnajduje córki jego siostry i oddaje im depozyt.

Właściwie to wszystkie sprawy są dla Małgorzaty osobiste, bo jest pewna, że te duszyczki ją tu sprowadziły, że to nie przypadek. Że ktoś tu musiał przyjść, kto zna polski i zostanie przedłużeniem ich woli. Może się ludzie mogą śmiać, ale ona tak czuje. Wszyscy w jakiś

sposób szukamy sensu, a jej sensem jest to, żeby wszystkie 900 depozytów wróciło do Polski. Nie mają prawa pozostać w szufladzie archiwum na niemieckiej ziemi. Muszą do domu.

Niemieckie rodziny też reagują emocjonalnie. Drugi co do wielkości zbiór depozytów to przecież rzeczy osobiste ofiar hitlerowskich prześladowań we własnym kraju. Nicole Lorentz z archiwum opisuje, jak zwrot osobistych rzeczy dziadków i rodziców przywołuje wspomnienia, uwalnia rodzinne historie. Ofiary nie mają narodowości. Bo jakie znaczenie ma narodowość, jak do archiwum przyjeżdża syn pewnego Holendra i czyta pożegnalny list, który jego ojciec napisał do swoich dzieci dwa dni przed egzekucją? A wraz z listem dostaje zdjęcie ojca z maleńkim sobą na rękach? I starszy człowiek płacze, bo domknął mu się w życiu rozdział pod tytułem "ojciec".

10. SZCZĘŚCIARZ Z "THIELBEKA"

Za to Sławomirowi Wiaderkowi po telefonie Doroty Bartoszewicz rozdział pod tytułem "ojciec" otworzył się na nowo.

Wydawało mu się, że historię taty zna. Bo kiedy dziadek Agnieszki i Krzysztofa Kowalczyków ginął na plaży w Zatoce Lubeckiej po nalocie na "Cap Arconę", z pokładu sąsiedniego "Thielbeka" wyskakiwał 22-letni Dariusz Wiaderek.

Doświadczony - mimo młodego wieku - więzień ma przecucie, że nagłe opuszczenie obozu Neuengamme i stłoczenie tysięcy ludzi na statkach nie wróży nic dobrego. Dlatego, gdy Niemcy upychają więźniów na "Thielbeku", stara się pozostać na pokładzie, jak najbliżej burt jednostki. Kiedy spadają na nią pierwsze bomby, gnieźdzący się pod pokładem ludzie nie mają najmniejszych szans.

Dariusz zresztą pewnie też by utonął, wciągnięty za nogi przez kurczowo łapiących się wszystkiego, co nad nimi, pogrążających się w wodach Bałtyku towarzyszy niedoli, gdy nagle spostrzega unoszącą się nieopodal tonącego "Thielbeka" łódeczkę, tak zwanego "bączka" lub dinghi. A w nim dwóch ludzi zapraszających na maleńki pokład.

Być może łódeczka myli SS-manów na brzegu i nie otwierają ognia. Gdy orientują się, że rozbitkowie to więźniowie, szykują się do egzekucji, choć Hitler nie żyje od trzech dni, a wojna właśnie się kończy.

Ale pierwsze dni maja to czas błyskawicznych postępów ofensywy alianckiej w Niemczech. I to ratuje około 350 rozbitków z "Cap Arcony" i 50 z "Thielbeka", w tym Dariusza, z rąk oprawców.

Po uwolnieniu i przewiezieniu do amerykańskiego szpitala ojciec pana Sławomira śpi - według rodzinnej opowieści - bez przerwy siedem dni i nocy. Nic dziwnego: siedzi w obozach od lata 1940 roku. Przez pięć lat nie dojada, a mimo to przeżywa tak zwaną karę słupka: kilka godzin wiszenia na wykręconych rękach na słupku tak, aby nogi nie dotykały ziemi. Przeżywa też bicie bykowcem. Przeżywa też być może dzięki przypadkowemu aktowi miłosierdzia.

"Kaj leziesz, tam będziesz miał lepiej" - szepcze do niego w ślunskiej godce SS-man w Auschwitz, gdy Dariusz próbuje dyskretnie wymknąć się z tłumu spędzanego do wywiezienia z Auschwitz do Neuengamme.

W Neuengamme rzeczywiście ma lepiej. Pracuje pod dachem, rysuje rysunki techniczne. Raz tylko biorą go na izbę lekarską i wstrzykują coś w nogę. Ciężko przechorowuje zakażenie, do końca życia ma bliznę, ale przeżywa i to, i przetransportowanie na "Thielbeka". Gdy dopływa do brzegu po skoku z burty statku, przy wzroście 185 cm waży około 45 kg. Na początku musi być karmiony dożylnie.

Ocalony dzięki nieprawdopodobnym zbiegom okoliczności i własnej woli przetrwania Dariusz, gdy już nabierze sił, rzuca się z wilczym apetytem na życie. Układa je w Szwecji, gdzie trafia dzięki akcji hrabiego Bernadotte. Ma narzeczoną i plany na przyszłość.

Ale w Polsce matka tęskni za synem. I chwytą się ostateczności - w korespondencji sugeruje, że jest umierająca. W 1955 roku Dariusz przyjeżdża do Polski. Spisek, by ściągnąć go ze Szwecji, ma wadę - to podróż w jedną stronę.

Przez pierwsze dni po powrocie Dariusz chodzi nad Wisłę i po prostu wyje. Z kraju, w którym wówczas nie zamykało się mieszkań i aut, bo nikt nie kradł, trafił wprost do szarzyzny komunizmu, biedy, pustych sklepów. Plan powrotu przez trzy miesiące wybijają mu z głowy ubecy na Rakowieckiej w Warszawie, każąc dzień po dniu pisać od nowa życiorys. Czekają na pomyłkę w zeznaniach.

Dariusz w życiorysie nie kłamie, więc się nie myli. W Polsce przychodzi postalinowska odwilż, a jemu odpuszczają. Kończy studia budowlane na Politechnice Warszawskiej, zaczyna pracować w Biurze Odbudowy Stolicy, kieruje m.in. budowę warszawskiej Rotundy PKO. Poznaje Barbarę - późniejszą mamę Sławomira.

Sławomir uważa, że to dzięki temu, iż w tacie było tyle życia, zdołał się z obozowego koszmaru otrząsnąć. Rzeczywiście, Dariusz żyje, jakby nie miał obciążeń psychicznych. Cały czas gdzieś jeździ, coś gdzieś robi. Umie sobie w PRL-owskich realiach radzić, pracuje m.in. w przedsiębiorstwach handlu zagranicznego. Jego najbliższym przyjacielem jest Niemiec. Kiedy na spacerze z synem napada na nich trzech bandytów, pyta: "panowie, to po kolei czy wszyscy razem?" - i zaczyna się rozbierać do walki. Napastnicy odpuszczają, a zdumionemu synowi Dariusz mówi: "Ja przeżyłem pięć lat obozu, niczego się nie boję".

Ale całe życie bardzo szybko je. Jak w obozie nie jadłeś szybko, umierałeś z głodu. Nie daje się też namówić synowi na napisanie książki. Od wypytywania o obozową przeszłość w rodzinie jest raczej szwagier Eugeniusz. Tata przy stole opowiada ze swadą, a syn chłonie opowieści. Ale wie, że są sprawy, o które ojca lepiej nie pytać, bo jak się naciśnie na to, co głęboko ukryte, to wyjdzie na wierzch.

Przecież w wieku, w którym Sławek był licealistą i myślał wyłącznie o imprezach, jego ojciec myślał, czy mogą go zatłuc na śmierć dziś wieczorem, czy dopiero rano. Patrzył na ludzi, których w gwarze obozowej nazywano "muzułmanami" - to byli ci, którzy po tygodniu się poddawali i przestawali walczyć o przeżycie.

- A wiesz, śnił mi się obóz - powie ojciec pewnego dnia, gdy, co do niego niepodobne, wstaje rano ponury.

Sławomirem tępnęło mocno dopiero teraz, w Helu, gdzie rozmawiamy po uroczystości oddania pamiętek po ojcu. Bo pierwszy raz w życiu zobaczył zdjęcie taty w pasiaku. Smutne, zrozpaczone piętnastoletnie dziecko. Nigdy nie widział go w takim stanie. I myśli, że ten zawał, który go przedwcześnie dopadł, być może miał związek z tym, jak szybko po obozie biegł przez życie.

11. LICZY SIĘ KAŻDE NAZWISKO

Najtrudniejsza sprawa? - pytam Dorotę Bartoszewicz.

Najtrudniej jest wtedy, gdy rodzina wymarła. Wtedy urywa się ślad. Trzeba szukać w lokalnych izbach pamięci. Trudno jest też, gdy nie ma grobu, a w naszej kulturze grób to emocjonalna sprawa. Jak dla Władysławy Kowalczykowej, która Henrykowi 1 listopada, 1 września czy w rocznicę śmierci zapalała świeczkę przy symbolicznej tablicy pamiątkowej, którą wywalczyła w Warszawie. I jeśli się uda ten grób znaleźć, to Dorota jest pewna, że nie tylko rodzina ma ukojenie, ale i ta dusza, odprowadzona do domu.

Mówię Dorocie, że pani Małgorzata ma jeszcze dziewięćset dusz do odprowadzenia.

- I ja jej w tym pomogę. Wiesz, śmierć to najwyższa cena, jaką człowiek może zapłacić za ojczyznę. Jeśli mogę podnieść jego pamięć z grobu, to to zrobię.

Małgorzata Przybyła wierzy, że uda jej się pomóc tym wszystkim, którzy jeszcze leżą w kartonach w archiwum Arolsen. Żeby przy tym wigilijnym stole ktoś wspomniał: gdzieś tam jest nasz dziadek czy babcia.

12. TAM

"Jak oni nas t a m męczyli..." - powie kilkuletniemu ciekawskiemu wnukowi babcia Stenia. I nie powie na temat Ravensbrück już nigdy nic więcej.

Stefania Wierzbicka według dokumentów z Arolsen została 4 września 1944 roku wywieziona z Warszawy dużym transportem (ponad 1380 osób) z obozu przejściowego w Pruszkowie. Z Ravensbrück skierowano ją na roboty przymusowe w Brandenburgii.

Przeżyła. Wnukowi, piszącemu te słowa, zamiast opowiadać, co było t a m, wolała czytać o przygodach Winnetou.

Kilka dni po powrocie z Arolsen Małgorzata Przybyła przysłała maila. Znalazła rodzinę Czesława Jaśkiewicza, tego z pierwszego transportu do Auschwitz, z dwoma zegarkami w depozycie.

Kolejna dusza niedługo pojedzie do domu.